

Recenzja rozprawy doktorskiej p. mgr. Macieja Topolskiego zatytułowanej
Antropologia taktylna. Rozpoznania napisanej pod kierunkiem p. profesor Anny
Łebkowskiej.

„Dotyk to rodzic naszych oczu, uszu, nosa i ust”. Ten cytat z artykułu Ashley Montagu z *New York Timesa* mógłby stanowić jeśli nie „myśl przewodnią”, to na pewno „przewodni zamysł” pracy p. Macieja Topolskiego. Jawi się bowiem dotyk jako zmysł-matka, dzięki któremu wciąż mamy dostęp do przestrzeni pierwotnego bytowania, która to przestrzeń została poddana gruntownej przebudowie przez działanie innych zmysłów, głównie wzroku, stając się przestrzenią niejako „wtórną”, skonstruowaną przez człowieka i na jego potrzeby. Tę niezwykłą zdolność dotyk zawdzięcza temu, że jest – mówiąc najkrócej – relacyjny, przy czym relacje taktylne nawiązywane są nie tyle z przedmiotem już „opracowanym” przez procedury poznawcze, lecz z przedmiotem, który, po części przynajmniej, odzyskuje swoją „czystość”. Może zatem usprawiedliwione było by rzec, że dotyk kontaktuje nas nie tyle z „przedmiotem”, co z „rzeczą”, że jest „dorzeczny” tak w sensie kierunku, jak i zdolności nadawania znaczenia. Gdy innym zmysłom zdarza się wieść nas „od-rzeczy”, to nie zdarza się to dotykowi. Jak czytamy: „Dotyk nie działa na zasadzie oddzielenia, nie tworzy podziałów i nie wyodrębnia, lecz (...) tworzy relacje i uwypukla znaczenia” (s.37). Szczęśliwie zwłaszcza jest owo „uwypukla”, gdyż akcentuje trójwymiarowość dotyku, który nawet płaskiemu przedmiotowi nadaje fakturę i głębię. Kto z nas nie wyczuwa pod palcami gramatury papieru, a dotykając karty nie doświadcza swoistej przyjemności, której źródłem jest to, że nagle porzucamy świat dla innych zmysłów „płaski” i zagłębiamy się w świecie rzeczy wypukłych. Gdyby przywołać głośną książkę Edwina Abbotta powiedzielibyśmy, że przestajemy być „płaszczakami”.

Zadanie, jakie sobie stawia Autor polega na przywróceniu dotykowi należnego miejsca w hierarchii zmysłowego poznania. Słusznie bowiem wielokrotnie poddając krytyce okulocentryzm zachodniej epistemologii p. Topolski zauważa, że „dotyk to zmysł zapomniany, oczywisty, niewidzialny, niedefiniowalny (...), niebezpieczny zarówno na poziomie biologicznym (...), jak i społecznym (...), podający w wątpliwość językowo wizualny wzorzec myślenia (zwłaszcza akademickiego)” (s.16). Zastanówmy się nad tym opisem stanu rzeczy, bowiem wynika z niego głęboko paradoksalna sytuacja dotyku. Po pierwsze, jest „zapomniany”, ale nie jest to zwyczajne zapomnienie w sensie odejścia w niepamięć; to jakby zapomnienie czynne, zapomnienie za sprawą nieustannego używania (jest

„oczywisty”). Jest „zapomniany” z powodu swojej oczywistości, tak jak zapominamy o powietrzu, którym oddychamy. Dotyk i powietrze są jednakowo „niewidzialne”. Po drugie, jest „niebezpieczny” nie tylko, jak pisze nasz Autor, z powodu potencjalnego zagrożenia zakażeniem, ale także i tego, że może być przekaznikiem zła, podpadając pod kategorie etyki: wszyscy słyszeliśmy o *złym dotyku*. Ale jednocześnie za sprawą dotyku doświadczamy poczucia bliskości, które znów – jak w wyobrażeniach *mise en abyme* może przeobrazić się w agresywne zawłaszczenie. Wreszcie, po trzecie, prawdą jest, że dotyk wyłamuje się z wysoko zorganizowanych językowych form myślenia, ale przecież – jak dowodzi praca naszego Autora – jest na nie skazany, bowiem to językowo będzie analizowany i opisywany.

Dlatego, by stawić czoła temu ostatniemu wyzwaniu p. Maciej Topolski, dokonuje na samym początku swej rozprawy cięcia Ockhama: odcina się od klasycznych wzorców pisania akademickiego. Co oznacza taka decyzja? Przeakcentowanie wysiłku, który kieruje się nie na deskrypcje poszczególnych pojęć czy szkół badawczych, odchodzi od przedstawienia tradycyjnie rozumianego „stanu badań” na rzecz budowania połączeń między rozrzuconymi elementami i zjawiskami świata. To, co nazwaliśmy *do-rzecznością* polega nie na uchwyceniu przedmiotu, lecz na tym, że – wymknąwszy się takiemu uchwytowi naszego instrumentalnego pojmowania przedmiotu – jest on w stanie wiązać się z innymi przedmiotami i dopiero w tym związaniu staje się *rzeczą*. Stąd często powraca w rozważaniach p. Topolskiego metafora sieci: „Pajęcza sieć wskazuje tak naprawdę na zdolność dotykową, która splata ze sobą – jak nici – każdy żywy organizm i każdą nieożywioną rzecz” (s.38). Tu zapytam wyprzedzając tok recenzji: skoro „pająk” i jego sieć pojawiają się kilkakrotnie w rozprawie i niejako odnoszą się do ontologicznej kondycji człowieka, przypomnę Blake’owskie „przysłowie piekielne”: „Ptak gniazdo, pająk sieć, człowiek przyjaźń” (przeł. Wiesław Juszczak). Przytaczam je, by zasięgnąć zdania Doktoranta: skoro sieć (relacyjność) jest domem i żywiołem pająka, czy przyjaźń nie jest wyblyskiem dotyku jako momentu związania właśnie. Czy dotyk w szczególnym swoim wydaniu jest objawieniem się przyjaźni? Będąc ciekawym zdania p. Topolskiego w tej materii, wracam do recenzji.

Jako sposób pisania Autor wybiera „esej naukowy”. A oto i objaśnienie: „Esej jako gatunek literacki stoi próbą, nie lubi się z teorią ogólną, nie rości sobie prawa do obiektywizmu, nie wytycza jedynej właściwej ścieżki myślenia, nie znosi tego, co odtwórcze. Wybrałem ten gatunek świadomie, pozwalał mi bowiem zrezygnować z *odtwarzania*

rozproszonych teorii naukowych na rzecz *wytwarzania* połączeń między tymi teoriami, a następnie kreowania na ich podstawie własnych propozycji teoretycznych” (s.3).

Chodzi więc, o ile dobrze odczytuję myśl p. Topolskiego o stworzenie pewnego typu wrażliwości na świat i jego *rzeczy*, naukę (bo przecież stawką jest esej „naukowy”), w której rozum, ciało i serce nie tracą kontaktu, *dotykają się* wzajemnie moderując swe poczynania. Drogi poznania są różne, ale różne przecież są dotykające się osoby; to różnica warunkuje bliskość - gdy różnica znika, kończy się bliskość, zaczyna opresja. Autor nie posługuje się często pojęciem wrażliwości, ale mówi o uważności, upatrując w tym specjalnej roli dotyku: „Uważność taktylna polegałaby zatem na uwzględnianiu identyczności i różnic jednostek (...), które tworzą wspólne środowisko, ale są również podatne na jego oddziaływanie. Miałaby związek ze zwracaniem uwagi na nietrwały i przypadkowy – co nie znaczy pozbawiony znaczenia – charakter połączeń tworzonych w obrębie kolektywy taktylnej” (s.54). Przypominam w tym kontekście zdanie Eugene Minkowskiego, który zastanawiając się nad nieustannym przepływem i nietrwałością zdarzeń pytał: „Czy z tej perspektywy nie jest cudem, że w ogóle można cegokolwiek dotknąć, że można wejść w bezpośredni kontakt z istotami i rzeczami” (przeł. Marcin Polak). Może więc tak należałoby przedstawić zadanie p. Topolskiego: jak uchwycić i wyrazić *cud dotyku*, i czy *uchwycone* pozostanie jeszcze *cudem*, czy ześlizgnie się w rubryki okulocentrycznej klasyfikacji przedmiotów?

Powiem od razu: podzielam pogląd Autora, iż dyskurs humanistyczny może i powinien obejmować najrozmaitsze rejestry, nade wszystko zaś bliskie mi jest pojęcie *próby*, które – jak sądzę - Autor mógłby śmiało rozwinąć. Niesie ono z sobą niedokończoność („próba” to nie gotowa „premiera”), trud zmagania się z przeciwnościami („próbują się” z sobą biegli fechtmistrzowie, Wołodyjowski z Kmicicem), a także poczucie bycia na granicy tego, co znane (uczeni „próbują” poszerzyć poznanie eksperymentami). Tekst eseju, który już sam jest *próbą* (tak właśnie genialnie przełożył Tadeusz Boy-Żeleński dzieło Montaigne’a), tekst eseju, powtórzmy – to *próbówka*, w której człowiek myślący warzy i miesza rozmaite ingrediencje. Tak można zreinterpretować to, co Jan Parandowski nazwał wiele lat temu w pamiętnym tytule swej książki *Alchemia słowa*. Esej to pracownia alchemika. Jeszcze jeden element, na który warto zwrócić uwagę w dopiero co przytoczonym fragmencie: Autor mówi, że działa „na rzecz *wytwarzania* połączeń” i owa syntagma „działać na rzecz” przypomina nam o celu pracy: dotyk czyni *rzecz* z abstrakcyjnie kreowanego językowo-okulocentrycznym poznanem przedmiotu. Autor chce „działać na rzecz”: to znaczy chce przesunąć siebie nieco w cień, a w centrum umieszcza „*rzecz*”, o której mówi, bo o *rzeczy* w jego pracy *rzecz idzie*.

Trzeba więc pisać tak, aby dotknąć rzeczy: pytanie stawiane w pracy odnosi się nie tylko do możliwości stworzenia antropologii taktylnej, ale także, a może przede wszystkim, możliwości taktylnego dyskursu akademickiego.

Co powiedziawszy, przyznaję, że wysoko oceniam zamierzenie Autora, a także i śmiałość, z jaką przystąpił do wykonania zadania. Nie będę więc rekonstruował przebiegu pracy, wyliczał poszczególnych jej etapów zwykle zresztą, jak obiecał Autor, splątanych z sobą, i od razu przejdę do kilku wątków, którymi chciałbym podzielić się z p. Topolskim.

Najpierw *spróbujmy się* z intercepcją. Dwie moje uwagi są następujące: mówi Autor o klasycznym pojmowaniu osoby percypującej jako „myśliwego” „polującego” na wrażenia, przedmioty, znaczenia, które unieruchamia wnykami „wizualnych kategorii”. Istotnie, można wyobrazić sobie epistemologię jako swoiste łowiectwo (niestety, jak uczy historia, rzadko tylko bezkrwawe), ale w tej myśliwskiej scenie jest postać zagadkowa, w której spotyka się wiele rozbieżnych elementów. To Akteon, wnuk Kadmosa, zawołany łowca, który zoczywszy przez przypadek nagą Artemidę, boginię będącą zawołaną łowczynią, zostaje za karę zmieniony w jelenia i rozszarpany przez własne psy. Historia ta z pewnością znana dobrze Doktorantowi jest dla Niego ciekawa także dlatego, że była przedmiotem zainteresowania wielu malarzy, a p. Topolski dowodzi w swej rozprawie dobrej znajomości sztuki. Byłbym ciekawy, jak Autor podszedłby do tej fascynującej opowieści: oto śmiertelny, który spędził cały dzień na myślistwie (czyli uczony poznający świat), ślepym trafem (jak to się ma do przewidywalności będącej celem zabiegów nauki?) natrafia na boga, a dokładniej na nagie ciało bogini, które widzi ukradkiem (czy spojrzenie *kątem oka* jest jeszcze spojrzeniem nauki?), a którego nie wolno mu zobaczyć (jakie konsekwencje dla poznania ma zakaz wizualnej obecności boga w świecie człowieka?) i dlatego spotyka go śmierć (czy śmiertelny charakter człowieka ma coś wspólnego z grzechem spojrzenia, które nagle uświadamia sobie, że chciałoby dotknąć, a tu natrafia na absolutną i nieprzekraczalną granicę? Czy możliwe jest ciałokrewieństwo boga i człowieka, ciałokrewieństwo, a więc dotyk?). Kwestia druga dotyczy polaryzacji ciała i duszy: to, o czym pisze p. Topolski przywołując australijską filozofkę odnajdziemy już u Williama Blake’a, który jednym z trzech głównych grzechów kultury Zachodu uczynił dychotomiczny podział na całkowicie oddzielone od siebie ciało i duszę oraz przypisane im wartości: dusza – dobro, ciało – zło. To w *Zaślubinach Nieba i Piekła* czytamy o tym, a także i o tym, że „Człowiek nie ma Ciała oddzielnego od Duszy; to bowiem, co Ciałem zwiemy, jest częstką Duszy rozeznaną przez pięć Zmysłów...” (przeł. Wiesław Juszczak). Rozszerzam tę uwagę na kwestię skóry jako granicy, *peribolos*, rozciągającej się

„wokół duszy, więzienia podobnego do pieczary, w którym tkwi dusza i z wnętrza której postrzega istniejące rzeczy” (s.65). A także myśląc o tym, że o ile system przemysłowy wymagał „ciała posłusznego i zdyscyplinowanego” (s.107), w takim razie byłby on odpowiednikiem Platońskiej jaskini, w której żyjemy i z głębi której postrzegamy rzeczywistość. Czy zatem dotyk byłby zmysłem „buntowniczym”, za którego sprawą moglibyśmy jaskinię tę opuścić, a słynne hasło wzywające proletariuszy do łączenia się byłoby w istocie ukrytym wezwaniem do taktylnej rewolucji poznawczej, ekonomicznej, politycznej i estetycznej? I czy zatem stałą cechą społeczeństwa przemysłowego nie było „tresowanie” dotyku tak, by służył systemowi, a nie obalał go? Neutralizowanie jego wywrotowego potencjału? W I tomie *Kapitału* Marksa znajduję znamieny cytat z wypowiedzi właściciela fabryki tekstylnej: „Delikatność tkaniny wymaga lekkości dotyku, której nabyć można jedynie przez rozpoczęcie pracy w fabrykach w bardzo młodym wieku” (Książka i Wiedza, Warszawa 1970, s. 330). Szkoła życia to trening dotykania tak, by dotyk stracił swój wywrotowy potencjał, a jego „lekkość” (*lightness of touch*) nie miała nic wspólnego z czułością, a była jedynie fachową umiejętnością służącą produkcji. Dotyk służy tu nie ludziom, lecz fabrykacji przedmiotu, który nie staje się *rzeczą* i pozostaje produktem na sprzedaż. Dotyk nie jest doświadczaniem „ciałokrewieństwa”, lecz sprawnością czysto techniczną.

A generalnie pytam o Blake’a, bowiem jego program naprawy epistemologii Zachodu jest programem właściwego rozeznania tego, czym w istocie są zmysły. Co więc Autor uczyniłby ze słynną sentencją: „Gdyby wrota postrzegania (*doors of perception*) oczyszczone zostały, każda rzecz ukazałaby się człowiekowi taką jaką jest, nieskończoną”?

Takie dążenie do „oczyszczania” (*cleansening*) odnajduję też u D.H. Lawrence’a, którego polecam uwadze p. Topolskiego, o ile będzie chciał pracować dalej nad zmysłem dotyku. Otóż, Lawrence kreśli obraz nowoczesnej cywilizacji nie tylko jako systemu „mózgowego” (*cerebral*), dychotomicznie przeciwstawiającego się zmysłom (*Since we have become so cerebral / we can't bear to touch or to be touched. / Since we are so cerebral / we are humanly out of touch*), ale więcej – uważa, iż zmysły zostały nie tyle wykluczone z procesów poznawczych i życiowych, ale przechwycone przez to, co „mózgowe”, stając się zmysłami zafałszowanymi. To, co zwiemy „dotykiem” jest w istocie chciwym chwytem zawłaszczania, pożądliwością, a zatem – rekomenduje Lawrence: trzeba się „od-dotykać”, aby oczyścić pole dla prawdziwego dotyku: *Great is my need to be untouched, untouched* (wszystkie cytaty z tomu *Pansies*).

Ważnym dla Autora rozprawy jest także pojęcie kontaktu, bowiem – jak czytamy – „zaprzeczenie kontaktowi jest równoznaczne z wykluczeniem z życia oraz z ciała”, co prowadzi do wniosku, że w istocie nie da się zakwestionować dotyku czy „w ogóle zmysłowości” jako ścieżek poznania (s.46). Kontakt polega w ujęciu p. Topolskiego na „powiązaniu życia i wszystkich istot żywych” (s.48) i stanowi materię „sumbiofilii”, czyli miłości do wspólnego życia (s.48). Prosiłbym, aby Doktorant zechciał skupić się na pojęciu „kontaktu” zastanawiając się, czy i jak z jednej strony w sposób jasny wydobywa ono i akcentuje dotyk, ale z drugiej wykracza daleko poza niego. Czy w doświadczeniu „kontaktu” nie porzucamy dotychczasowych kategorii porządkujących rzeczywistość i nie wkraczamy (na tyle, na ile to możliwe dla człowieka) w sferę nie-ludzkiego? Czy „kontakt” to dotyk już poza dotykiem, tak jak zwykle go pojmujemy? Czy doznając „kontaktu” opuszczam sferę tego, co wiem i co umiem, czy w jakimś podstawowym sensie *przestaję być sobą* i muszę na nowo o sobie zapytać? Nie próżno literatura science fiction obfituje w sceny „kontaktu” z innymi cywilizacjami, co zwykle stawia naszą pod znakiem zapytania. Ale chciałbym, by w tej indagacji poprowadził mnie Henry David Thoreau, który w 1846 roku wspiął się na górę Ktaadn w stanie Maine i zostawił szczegółowy opis tej wędrówki w eseju noszącym tytuł będący nazwą szczytu. Zachęcam Autora do spojrzenia na ten tekst niezwykle w swej intensywności niemal taktylnej, a ja przechodzę do finału: Thoreau, zdumiony dzikością natury nietkniętej ludzką działalnością (*This was the Earth of which we have heard, made out of Chaos and old Night*), nie jest to nasza *Mother Earth*, która nas cierpliwie znosi i w której kiedyś spoczniemy – jest to zmaterializowana nie-ludzkość. Przynosi ona zupełnie inne doświadczenie własnego ciała (*I stand in awe of my body, this matter to which I am bound has become so strange to me*), a dalej każe nam doświadczyć radykalnej bliskości materii (*daily to be shown matter, to come in contact with, - rocks, trees, wind on our cheeks! The SOLID earth! The ACTUAL world!*), by zakończyć ekstatyczną apoteozą kontaktu (a może tylko ekstatycznym pragnieniem kontaktu, który jest nam wzbroniony?): *Contact! Contact! Who are we? Where are we?* Oczywiście, wieńczące tę scenę pytania są fundamentalne i ciekaw jestem, jak p. Maciej Topolski zinterpretuje ten niezwykle fragment dysponując obszerną wiedzą na temat dotyku.

Summa summarum: rozprawę p. Maciej Topolskiego przeczytałem z wielkim zainteresowaniem i korzyścią dla siebie. To praca człowieka, który pragnie poruszać się po świecie, jak po labiryncie, w którym żadna pojedyncza dyscyplina wiedzy nie splecie nam

nitki Ariadny. Stąd doceniam jego postulat o konieczności praktykowania humanistycznego dyskursu jako sztuki łączliwości. Cenię też obecność dzieł sztuki wizualnej i świadomość społecznego i instytucjonalnego kontekstu (np. muzeum), w jakim dzieło sztuki funkcjonuje. Patronuje p. Topolskiemu, rzecz jasna, Michel de Montaigne i pewnie niebawem przyjdzie mu do tego mistrza eseju naukowego powrócić na dłużej. Wszystkie moje uwagi i pytania zawarte w tej recenzji to jedynie zaproszenia do rozmowy „o” i „w” przestrzeni dotyku. Co powiedziawszy, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę p. Topolskiego na tak właśnie zatytułowaną książkę, będącą jedną z kilku wydanych po znakomitych wydarzeniach z cyklu Medium Mundi, jakie raz do roku organizowali w Chorzowie-Batorym panowie Krzysztof Maliszewski i Jacek Kurek. Wydarzenie w roku 2009 było poświęcone dotykowi i nosiło tytuł *W przestrzeni dotyku*. Wspominam o tym, niczego Autorowi nie wytykając, dla bibliograficznej akuraczności, a bardziej dlatego, by wskazać, że warto pamiętać o tym, co rozgrywa się w przestrzeni dotyku właśnie, czyli na marginesie renomowanych wydawnictw, wielkich ośrodków i niezrozumiałej w swym biurokratyzmie punktacji dotyk zabijającej.

Rozprawę p. Macieja Topolskiego oceniam, jak już powiedziałem, wysoko, zatem polecam Doktoranta do dalszych etapów postępowania doktorskiego.



Tadeusz Sławek

w Cisownicy, 6 października, 2023